

SALON KULTURY NIEZALEŻNEJ

SNOBIZM I OPOZYCJA

Wiadomo, że w drugiej połowie gierkowskiej dekady, choć rozpoczęła się na dobre od dramatycznych wydarzeń radomskich, odwaga stopniowo okazywała się łatwiejsza. Nie tylko dla odważnych. Nie chciałbym, aby to, co teraz powiem, zabrzmiało antypatycznie czy prowokująco, lecz odwaga nie tylko na szczęście potaniała, ale wespół ze swoimi siostrami cnotą i prawdą zaczęła się opłacać. Pisarzom, artystom, ludziom kultury i sztuki. W przeciwieństwie do kolaboracji i konformizmu, które w czasie najgorszym pozwalały przetrwać. A kiedy skończył się stalinizm, egzystować na poziomie względnie przyzwoitym. Oczywiście ludzie ideowi, różnych zresztą poglądów, pionierzy opozycji, nie liczyli na sukcesy czy nagrody za swój wybór. Wybierali w odruchu etycznym, czyli bezinteresownie. Kierując się, może instynktownie, szekspirowską mądrością. Aby spodziewać się najlepszego. Kiedyś. Na pewno. Ale bez wyznaczania daty. I być też przygotowanym na najgorsze, choćby jutro, tylko nigdy nie tracąc nadziei.

Przekonanie, że jak to określił Władysław Bartoszewski, opłaca się być przyzwoitym człowiekiem (a nawet podejmować w związku z tym jakieś ryzyko), upowszechniło się w świadomości pisarzy i artystów, ludzi – można powiedzieć – zawodowo wrażliwych moralnie, również na swoim punkcie. Nie darmo w Komitecie Obrony Robotników znaleźli się pisarze różnych pokoleń i orientacji. Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Anka Kowalska, historyk literatury Jan Józef Lipski, artystka teatralna Halina Mikołajska. Ten proces promocji odwagi w słusznej sprawie także dzięki ich świadectwom postępował, szybciej lub wolniej, meandrując, ale naprzód. Układność i fałsz, choć mogły się komuś do czegoś przydać, ostatecznie straciły wdzięk, a prawdę mówiąc, nigdy nim nie grzeszyły. Ale, trywializując problem przykładem, stypendia zagraniczne Ministerstwa Kultury ustępowały tym, które mogli uzyskać ludzie związani z opozycją. A władza traktowała przedstawicieli środowiska łagodnie, wyrozumialej niż tzw. zwykłych ludzi. Zwłaszcza jeżeli ci ostatni protestując czy manifestując, zapominali, gdzie jest ich właściwe miejsce. Nawet zwalczani przeciwnicy systemu mogli z jego strony liczyć na więcej grzeczności, byle pamiętała o nich opinia publiczna, najlepiej światowa. Represje zastosowano wobec Ursusa i Radomia wybiórczo, klasowo. Zresztą w całym bloku radzieckim władza samozachowawczo mądrzała. Widocznie nauka wielkich rewolucji, francuskiej i październikowej, na coś się jednak przydała. Że kiedy rewolucji nie staje wrogów, poszukuje ich we własnych

TOMASZ ŁUBIŃSKI

pisarz, dramaturg, eseista, studiował historię i polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Współzałożyciel „Res Publiki”, pracował w redakcjach „Kultury” i „Tygodnika Solidarność”, jest redaktorem naczelnym „Nowych Książek”. Autor wielu książek, m.in. *Bić się czy nie bić? O polskich powstaniach* (1978), *M jak Mickiewicz* (1999), *Ani tryumf, ani zgon. Szkice o Powstaniu Warszawskim* (2004), *1939. Zaczęło się we wrześniu* (2009).

szeregach, pożera własne dzieci. A w Polsce władza nie miała nawet rewolucyjnego pochodzenia, została geopolitycznie zainstalowana. Z czasem uwrażliwiła się na punkcie swojej wiarygodności, przyswajając sobie chętnie patriotyczne hasła.

Pisarzom i artystom mogła zapewnić głównie, że są ważni. Pamiętam, jak podczas dyżurnej dyskusji o polskim dramacie współczesnym jeden z kolegów przechwalił się, że w jego sprawie deliberowano w Komitecie Centralnym. I wzajemnie. Władza snobowała się na artystów i pisarzy. Co rozumiałe: było jednak wygodniej i zabawniej pouczać, beszczać, schlebiać, prowadzić dworskie gry z nieznośnym politycznie pisarzem, niż stanąć oko w oko z tłumem wściekłych łódzkich tkaczek. Albo czuć blisko głuchą, robotniczą nienawiść. Rzecz jasna można było artystę, jak każdego, pozbawić paszportu, wolności (ale to ostatnie już raczej w zawieszeniu). Cenzura stanowiła realną groźbę skazania na milczenie, niebyt (nie każdy czuje się Norwidem i może liczyć na odkrycie przez późnego wnuka), lecz rozwijający się od chwili powstania „Zapisu” drugi obieg literacki łamał państwowy monopol. NOWA do 1979 r. wydała już pięćdziesiąt książek. Działyły oficyny emigracyjne, nierówno przez PRL traktowane. Obsesyjnie wrogo „Kultura” paryska, Instytut Literacki, podczas gdy konszachty z polonijnym Londynem uważano za grzech lżejszy. Nic dziwnego, że Kazimierz Orłoś, który wydał *Cudowną melinę* u Giedroycia pod własnym nazwiskiem, aż do końca dekady znalazł bardzo niewielu naśladowców, choćby kryły ich pseudonimy.

Funkcjonowało kilka obiegów literackich o różnym prestiżu i znaczeniu politycznym. Konkurowały ze sobą o autorów i czytelników. Nie licząc zasadniczo zgodnego z linią partii i rządu, który można by określić jako reżimowy. Ale za zezwoleniem cenzury (i w walce z nią) ukazywały się również śmiałe książki, takie jak – żeby ograniczyć się do literatury faktu – *Zdążyć przed Panem Bogiem* czy *Rozmowy z katem*. Drugi obieg stawał się dla pierwszego alternatywą i tym sposobem zwiększał szansę odwołań od cenzorskich decyzji. Wśród czasopism, które wychodziły oficjalnie, nobilitował „Tygodnik Powszechny”. Można

powiedzieć, że istniał zresztą przez cały PRL obieg kościelny, który podlegał kontroli na innych zasadach.

Wszystko bardzo było skomplikowane i czasami mogło sprawiać wrażenie, że i dla władzy, i dla opozycji, negatywnie czy pozytywnie, ważniejsze było „gdzie”, niż „co” jest publikowane. Natomiast „jak”, czyli wartości artystyczne, było już na dalszym miejscu. Zaistniało niebezpieczeństwo, że wspomniana już odwaga stanie się dla pozacenzuralnej krytyki dodatkowym ważnym kryterium oceny dzieła. Odwaga – słowo piękne, tylko że można ją mierzyć zależnie od okoliczności. Zresztą dla obu stron liczyła się nie tylko twórczość, również działanie. Głosowanie w stowarzyszeniach artystycznych, aktywność na nielegalnych zebraniach, wreszcie podpisywanie apeli czy protestów pod adresem władz, które niczego takiego przecież sobie nie życzyły. Podpisywanie – można powiedzieć – tradycyjne, bo najważniejsze listy 34, 59 czy 101 miały miejsce już wcześniej. Ale okoliczności, mechanizmy psychologiczne towarzyszące podejmowaniu opozycyjnego ryzyka działały zarówno gdy chodziło o krok zdecydowany, np. udział w głódówce, kontakt z „Kulturą” paryską albo Wolną Europą, jak i poparcie dla opozycji poprzez kolportowanie wydawnictw czy anonimową zbiórkę pieniędzy. Albo ryzyko życiowe, polegające np. na oddaniu piwnicy do dyspozycji podziemnych drukarzy lub przechowywaniu poszukiwanych. Stanowiło to zawsze wyzwanie nieznanego, bo reakcji władz nie sposób było przewidzieć. Każdy narażał się na swoją miarę, ale przecież zawsze kusiło, aby tę naturalną granicę przekroczyć. Udowodnić sobie: nie boję się, stać mnie na to i na tamto też. Nigdy oczywiście nie brakowało racjonalnych argumentów, żeby się cofnąć. Uczciwie zresztą: ze względów rodzinnych, zdrowotnych, materialnych. Czy nawet społecznych: gdyby to tylko ode mnie zależało, ale jestem własnością również kultury polskiej; chociaż brzmiało to wykrętnie, była w tym racja, bo np. filmowcom czy ludziom teatru państwo (monopolista) mogło odebrać twórczy warsztat. Ale koniec końców rzecz sprowadzała się do biblijnego tak czy nie. Jeżeli ktoś nie mógł, w porządku; dosta-

tecznie nie chciał, jego problem. A siebie jak wiadomo najtrudniej, właściwie nie da się, oszukać.

Zrozumiałe naturalnie, że garnie się do działania niejeden młody poeta czy malarz, w każdej rewolucji jest ich pełno. Niewiele ma za sobą, niewiele do stracenia, a zyskać może, jeśli szczęście będzie mu sprzyjało, podziw w środowisku. Z kolei literat zmęczony, zużyty, może wykonując opozycyjny gest doznać faustycznego odmłodzenia. Oto zdarzyło mu się coś nowego, jak może kiedyś, dawno, dawno temu. Odważnego, niebezpiecznego. W tej sytuacji to, co ma za sobą, traci na wartości. Co więcej, taka decyzja, na ogół nieodwołalna, przynosi wolność od taktycznych uwikłań. I poczucie uczestniczenia w czymś ważnym: neutralność w momencie przemian bywa trudna do utrzymania. Samotni łatwiej poddają się złym nastrojom, podatniejsi są na załamania czy manipulację.

Środowisko opozycyjne miało wobec milczącej, ale sprzyjającej solidarnie i od pewnego momentu snobistycznie większości – takiej szarej strefy, ładniej byłoby nazwać ją opozycyjną otuliną – taktykę znacznie skuteczniejszą niż złośliwa, pamiętliwa, nielojalna władza. Szantaż patriotyczny i bojkot towarzyski. Odwoływanie się do sumienia, działanie na ambicję. I nie mając żadnej materialnej władzy, stopniowo, rok za rokiem, zdobywało nieformalny, więc tym trudniejszy do zwalczania, rząd dusz. Przydawały się też socjotechniczne, a wywodzące się z chrześcijańskiej tradycji sposoby dusz pozyskiwania. Więc robotnicy ostatniej godziny starali się udowodnić, że słusznie są traktowani nie gorzej niż ci z pierwszej. Zbłąkana owca była przedmiotem specjalnej troski i daru zafiania nigdy już nie zawiedzie. Bardziej niż represji wolno było obawiać się opinii publicznej, bo dotyka ona zarówno społecznego, jak prywatnego życia.

Taki, nieformalny wprawdzie, rząd dusz oznaczał jednak jakąś sprawiedliwszą władzę nad ludźmi. Choć często ferowano wyroki samozwańczo albo wysta-

wiano pochopnie świadectwa moralności. Zdarzały się przykre pomyłki, skoro wśród pisarzy i artystów szczególną rolę odgrywają zaszłości, osobiste anse czy sympatie. Stosowano subiektywne, ale bardzo skuteczne kryterium potęgi smaku. Dawał o sobie znać darwinizm literacki. Próbowano korygować hierarchie pisarskie. Stąd Iwaszkiewicz czy Różewicz tracili (pozornie, przejściowo) należne im miejsce.

Rywalizacja obiegów, pierwszego i drugiego czy literatury krajowej i emigracyjnej (którą tuszowano w imię patriotycznej poprawności), choć nie przyniosła sama przez się wielkich dzieł, sprawiła jednak, że powiązane z polityką trudne nocne rozmowy rodaków, pisarzy i artystów stworzyły mocną wspólnotową tkaninę.

Pisał Dante: „za zło mieć karę, za dobro nagrodę, nie, to zbyt proste” – i takie nie było. Choć wielu żałuje, że nie dosyć uczestniczyli, naprawdę wszystko mogło się źle skończyć. Inni znów czują się niedocenieni, jakby poprzez sam fakt swojego udziału nie odebrali już należnej nagrody. Co wymagało determinacji. Bo tu nie wystarczały dobre skłonności i słuszne poglądy. Skazanie siebie na drugi obieg groziło przecież marginalizacją. Wydawnictwa emigracyjne były mało dostępne. Samizdatowe druki słabo czytelne. Wolnego radia słuchano bardziej dla polityki niż dla kultury. A byli też pisarze, którym uchodziło funkcjonowanie w kilku obiegach równoległe. W tym poza cenzurą, dzięki stosowaniu asekuranckiej formuły: „bez wiedzy i zgody autora”, bo w tych latach wyboru wybierano także taktykę, unikanie konfrontacji, skuteczność ceniono wyżej niż efekt. I bardzo dobrze, że tym razem niepotrzebna była, jak napisał Herbert, wielka odwaga. Że opłacało się, będąc pisarzem czy artystą, kierować się smakiem. Bo może dlatego m.in. większa liczba ludzi kultury i sztuki stanęła po słusznej stronie, odegrała w czasie pierwszej Solidarności istotną rolę.